



Z Wilna

Ostra Brama



Kaplica, w której się znajduje cudowny obraz Najświętszej Pani.

Wilno było kiedyś otoczone murem obronnym, w którym było 10 bram. Osiem bram zostało wraz z murem miejskim Zamkiem Królewskim po ostatnim rozbiórze przez Moskwę zburzonych. Pozostała jedna tylko, nad którą wznosi się kaplica z cudownym obrazem Matki Boskiej.

W r. 1671 została postawiona przez Karmelitów drewniana kaplica, po spale-

niu się jej wznowiono murowaną, zaś w roku 1850 dodano dla modlących się galerię piętrową. Ostra Brama zachowała dwie strzelnice od strony wjazdu, z herbów tylko gryfa i pogoń. Orzeł polski został przez Rosjan usunięty.

Obraz Matki Boskiej Ostrobramskiej zasłynął cudami w połowie XVII wieku. Twórcą tego obrazu był podobno jakiś zakonnik z Krakowa sprowadzony do Wilna w XVI wieku przez biskupa Tabora. Obraz ten malowany jest na deskach dębowych, zasłonięty cały kosztowną metalową sukienką z otworami na twarz, ręce, prócz tego posiada zasłony z pięknych tkanin. Istnieje legenda, że świętobliwemu zakonnikowi ukazała się na deskach zamkniętej okiennicy Matka Boska i tak powstał obraz.

Codziennie rano i wieczorem jest odprawiane nabożeństwo, które gromadzi wielu wiernych.

Wszyscy, którzy przechodzą przez Ostrą Bramę zdejmują czapki — wszyscy bez różnicy wyznań i narodowości.

Obraz Matki Boskiej Ostrobramskiej, ten symbol polskiego Wilna, ukochany jest przez ludność nie tylko Wilna, ale całej Polski.

Z. R.

Maryśka ze Śląska

Chodź prędzej, bo się spóźnimy. Nie masz pojęcia, jak się cieszę z naszej modelarni szybowcowej. Zobaczysz, wymajstruję taki modelik, że... palce lizać. Marzę o tym, żeby być lotnikiem.

Piękne marzenia, ale nie bądź za bardzo pewny siebie. Żeby coś mądrego wykombinować to nie wystarczy tak szast — prast i już gotowy jakiś model — cudo. Trzeba się wielu rzeczy nauczyć, namęczyć, nakombinować zanim coś się stworzy. Ale, ale, zapomniałem ci powiedzieć coś zabawnego. Wiesz, ta Helka ze sklepiku na rogu też ma chodzić do modelarni. Żebyś ty ją widział, jak się tam wybierała: Napakowała cały tornister jakichś dykt, klejów, jak wielbłąd tak się obładowała.

Cha, cha, cha! A to dopiero heca. Poco dziewczynie taka robota? Lepiejby się lalkami bawiła, albo haftowała serwetki. Będzie nam tylko przeszkadzać. Pierwszy raz słyszę, żeby dziewczyna miała takie chłopcowskie pomysły, jestem zły i wiesz...

— Jak się macie chłopcy: — zabrzmiał tuż koło nich młody głos instruktora. Gdzie się to tak spieszycie? Na ćwiczenia? Świetnie. Będziemy majstrować. Ale o czym to tak rozmawialiście?

Czy wie pan, panie instruktorze, że będziemy mieć dziewczynę w naszej modelarni? Helka Rapacka, ta ze sklepiku... Cha, cha, cha, słyszał to kto coś podobnego?

Owszem, ja słyszałem — odparł zagadnięty — i wiercie mi nic w tym nie ma nadzwyczajnego. Świat ma przecież już nie jedną sławną lotniczkę i częste są wypadki, że dziewczęta prześcigają chłopców pomysłowością, odwagą i zdolnościami sportowymi. Czy nigdy nie słyszeliście o Marii Wardasównie? Jest to Ślązaczka, urodzona pod większą strzechą, a dziś znana jest jako zdolna, niejeden wy czyn mająca za sobą szybowniczką. A że byście wiedzieli, jaka przy tym jest dzielna i jakie ładne pisze książki dla młodzieży o lotnictwie!

— Naprawdę o lotnictwie? Strasznie lubimy takie książki! Panie instruktorze co ona napisała? Chciałbym to przeczytać, każda książka o lotnictwie bardzo nas interesuje.

Wardasówna napisała kilka książek, a ponieważ ukochała podniebne krainy, o nich pisała, o lotach na nośnych skrzydłach szybowców. Jej tworem jest „Próba skrzydeł”, „Janek lotnik”, „Lot Jurka wokół Polski” i ostatnio napisała „Maryskę ze Śląska”. Śliczna to książeczka, radzę przeczytać. I może wtedy nie będziecie się śmiać z Helki.

A o czym tam pisze? — dopytywał się ciekawski Wacek.

Książeczka ta opisuje dzieje biednej, wiejskiej sieroty. Wychowywana przez obcych, prostych i ciemnych ludzi marzy i tęskni do lotów podniebnych, do oderwania się od ziemi, na której tyle smutków przeżywa. I oto marzenia jej zaczynają się spełniać. Do cichej wioski na Beskidach Śląskich zjeżdża grupa harcerzy, by na górskich zboczach uczyć się szybownictwa. Maryśka swoją inteligentną ciekawością i żądzą wiedzy wzbudza zainteresowanie instruktora, uczy więc ją latać! Jakież tam są śmieszne i zwruszające momenty!

Widzimy Maryskę, pasącą krowy na miedzy, to znów w pożyczonych spodniach, harującą w powietrzu. Wzrusza nas ona swą wytrwałością, odwagą i szlachetną prostotą. Przeczytajcie chłopcy tę książkę. Wierzę, że pokochacie Maryskę, i na stronach milej, ciekawej książki wraz z nią radośnie będziecie szybować ponad miękkimi szczytami Beskidów Zachodnich i nad przepaściami groźnych Tatr. Zaśmieją się do was srebrzystymi oczami stawy gorskie, zasumają wam wiatry podniebne, unoszące w dal Maryskę. Książka ta da wam ciekawe wrażenia, zaznajomi z techniką szybownictwa, oprowadzi was po pięknych górach polskich. Po przeczytaniu jej będziecie czuć w sobie radość. Miłe, szlachetne postacie bohaterów, momenty komiczne, no i szczęśliwe zakończenie — wszystko składa się na to... że podziękujecie mi za dobrą radę, by przeczytać tę książkę.

No, ale bądźcie na razie zdrowi. Za chwilę spotkamy się w modelarni. Muszę wstąpić jeszcze do sklepiku kupić gumy arabskiej. Bywajcie i pamiętajcie „Maryśka ze Śląska” Marii Wardasówny.

Pamiętamy, panie instruktorze i dziękujemy za radę!...

≡Pierwszy obóz≡

Jacek wypadł z domu, w mundurze, z plecakiem wyladowanym obficie i sterzącym na plecach, jak góra. Zataczał się pod tym ciężarem. A tu z balkonu zawołała matka:

— Jacuś, weź jeszcze jeden koc! Noc będzie chłodna, przeziębisz się! — W tej chwili trzasnęła furtka w sąsiednim domu. Wybiegł stamtąd Sawicki, syn dozorczy. Także w mundurze... Wyszczerył w uśmiechu dwa rzędy zębów, jak u wilka, krzyknął: spóźnisz się!... i pognał trzęsąc plecakiem.

Wobec tego Jacek przestał się namyślać, czy wziąć drugi koc. Jęknął rozpaczliwie w stronę matki:

— Nie mam czasu... — i pobiegł za Sawickim. Tamten sadził naprzód lekkimi susami, a Jacek za nim ciężkim truchtem. Plecak ciągnął go wstecz. Rzemienie wpijały się w ramiona. Nabral tyle swetrów, tyle jedzenia...

Zgrzany, czerwony wsiadł Jacek do tramwaju. A tu na pomoście stoi ten Sawicki i wyszczera znowu swoje zęby. Jacek z pasją wszedł do przedziału, choć było tam duszno i gorąco. Myślał: — Po co ja jadę właściwie... taka męka i nie więcej...

Nie chciał jechać. Nie chciał wogóle należeć do harcerstwa. Nie rozumiał po co. W domu tak wygodnie... Ale ojciec kazał się zapisać do drużyny szkolnej i Jacek musiał. A poza tym prawie cała klasa należała.

Jacek należał do drugiego zastępu Panter. Przeważali go wkrótce „Ogon Pantery”. Włókł się zawsze w ognio zastępu, ostatni na zbiorce, spóźniony w sprawnościach, niezdarny w mustrze. — Po co mam się męczyć — myślał. Co mi z tego przyjdzie; czy potrafię rozpalić ognisko jedną zapalką, czy nie. W domu mam gaz i elektryczność. Albo tropienie po śladach... W lesie mieszkąć nie będę.

I zawzinal się w uporze, choć śmiali się z niego koledzy. I ten Sawicki... O, właśnie wyskoczył z tramwaju... Dokąd on pędzi?... Aha, to już dworzec! Wygramolił się Jacek ze swoim plecakiem z tramwaju... i wpadł w istny rój harcerzy. Tornistry, peleryny, plecaki... roziskrzona oczy, roześmiane twarze, rozmachane ręce. Zblądził Jacek, jak w lesie, wśród szaro zielonych mundurów. Trzy tysiące chłopców z samej Warszawy

jechało na zlot dwudniowy obóz do Pomiechówka nad rzeką Wkrą.

Jacek stracił z oczu Sawickiego. Zapomniał, gdzie było miejsce zbiórki jego drużyny i rzucił się bezradnie w prawo i w lewo, wśród samych niezajomych chłopców. Menażka pobrzękiwała mu do taktu na wierzchu plecaka. Jakis głos huknął mu nad uchem:

— Hej, druhu muzykancie! — i pewien poważnie wyglądający harcerz przytroczył mu własnoręcznie menażkę, gderząc przy tym na niedbałe pakowanie rynsztunku.

Przebiegł jakiś zastęp dźwigający ogromne toboły. Potracili Jacka, nagniewali się na niego, że stoi w drodze i pomknęli dalej. Wyplął wreszcie wraz z innymi na peron. A tu wagony, ruch, gwar. Czapki zawadiacko nałożone od czoła, śmiech. Usłyszał wołanie:

— Jacek! Tu! — i znalazł się za chwilę wśród kolegów, w towarowym wagonie. — Tym pojedziemy? — zdziwił się. — A na czym będziemy siedzieć?...

Nawymyślali mu zaraz od wygodności, więc się z miejsca obraził i nachmurzył. Na domiar przyczepił się do niego drużynowy:

— Jacek, co masz w ręku? Mówiłem, że nie wolno mieć ręcznych pakunków. Bój się Boga, jak ty masz spakowany plecak! Jak ten koc zwinięty...

Ściągnął z niego plecak i zaczął na nowo przepakowywać.

Na szczęście krzyknęto na peronie:

— Siadać! Odjazd!...

Lokomotywa gwizdnęła, wagony stuknęły, szczęknęły hamulce i ruszyli. A tamci wszyscy polecili zaraz do drzwi i wydali taki taki chóralny okrzyk... nie okrzyk, a wrzask... na całą Warszawę! Cieszyli się, że jadą w szerokie przestrzenie, w las, na swobodę. Ale Jacek nie krzyczał. Nie rozumiał, czego się tu cieszyć wyjeżdżając ze znajomych ciasnych ulic... do jakiegoś lasu, w którym nie wiadomo, co czeka...

Tamci poroziadali się potem na podłodze wagonu, jak na wygodnych fotelach i rozśpiewali się. Ten Sawicki pośrodku śpiewał najgłośniej. Wszystkie harcerskie piosenki... A Jacek myślał:

— Nie zwracają na mnie uwagi, to ja (Dokończenie na str. 6-tej.)



Moja miło Pyzo — rzeźce stara sowa,
— raz na wiek się trafia, taka jak twa głowa.
Wartaś stu pomników. Jedź w chęcińskie skały
dadzą ci tam marmur na pomnik wspaniały.



Moja pani sowo. Jestem dość rozumna,
cenię swe zasługi, lecz nie jestem dumna.
Nie chcę ją pomników. Jednym mym marzeniem
mieć w sercach dziecińczych życzywie
wspomnienie! —



Lecz pójdę do Chęcina przez puszcę jodłową.
Żegnaj stary zamku, żegnaj godna sowo!
Góry strome! Łysico wysoka
stoję sobie głową nurzając w obłokach!

4 KRASNOLUDKI

Jak Pyza



Hejże z góry! Z górki! Aż wiatr wzdyma
kieckę!
świecą się różane marmury kieleckie!
—Panowie, marmury kowający młotem,
pokażcie Pyzuli swą piękną robotę!

Ogród Saski

Ogród Saski został założony przez króla Augusta II, Sasa w roku 1715—24. Park ten należał wówczas do pałacu królewskiego. Utrzymany był w stylu francuskim, na wzór parku w Wersalu. W roku 1816 nadano mu styl angielski i z tego okresu pochodzi kilka budynków empirowych.

W roku 1727 ogród królewski został oddany do użytku publicznego.

Od strony obecnego placu Józefa Piłsudskiego znajdują się pozostałości po bardzo niegdyś okazałym pałacu saskim. rezydencji Augusta II i Augusta III. Na terenie dawnego podwórca pałacowego stanął w roku 1890 olbrzymi sobór moskiewski, w roku 1925 został on rozebrany.

Dwa skrzydła pałacowe łączy piękna kolumnada. Pod środkową arkadą zbudowano Grób Nieznanego Żołnierza. Z drugiej zaś strony Grobu stoi pomnik ks. Józefa Poniatowskiego.

wędrowała



na Pyzo miła Pyzo! Cęba twoja składna —
zrobim cię z marmuru! Będzie rzeźba
ładna!
Stoi na warsztacie Pyza marmurowa —
piękna, że ją jeno za szkło w szafkę
schowała.



Panna Weronika, mieszkająca w Kielcach
figurką się Pyzy zachwyciła wielce.
kupiła ją w sklepie, do szafki schowała.
— A szkoda, że żywej Pyzy nie widziała.

W Warszawie

W pobliżu Grobu Nieznanego Żołnierza znajduje się w Ogrodzie Saskim fontanna w stylu empirowym, obok zegar słoneczny i postacie z kamienia: posągi alegoryczne: sztuki, nauki i pór roku. Niedaleko drugiego wyjścia (przy ul. Króla Alberta) znajduje się sadzawka, a w pobliżu Wodozbiór, wybudowany w roku 1854.

W głębi ogrodu stoi drewniany budynek Teatru Letniego.

Od strony ulicy Królewskiej była dawniej ujeżdżalnia i teatr. W miejscu tym stanął w roku 1825 niski gmach w stylu klasycznym kolumnami, gdzie obecnie mieści się giełda.

W ogrodzie Saskim są jeszcze tereny sportowe dla młodzieży i basen z piaskiem i wodą dla małych dzieci.

Ogród Saski położony w samym środku miasta jest oazą roślinności i świeżego powietrza

Z. R.



Zobaczy ją pani, panno Weroniko,
idzie oto Pyza — ot za węglem znika!
Biegnie Weronika — Ej, panno Pyzeczko!
niech pani zaczeka, moja kochaneczko!



Jadę ja do Częstochowy, towarzyszeki szukam —
Chętnie! krzyknie nasza Pyza. — Chętnie Pani
słucham.

Wyruszyły drabnym wozem, razem z
pielgrzymami
Śpiewające Pożej Matce — O, módl się za nami. —

na nich także nie. Ani jednego zyczliwego kolegi nie mam...

I rozżalony zaczął zajadać jaja na twardo jedno po drugim...

A w Pomiechówku otoczył ich od razu zewsząd las. Wysokopienny, szpilkowy. Dołem miał podszycie z liściastych krzaków. Tłum harcerzy, taki rojny w mięcie, prysnął na wszystkie strony. Rozeszły się drużyny na miejsca przeznaczone do obozowania. Szaro-zielone mundury wsiąkły w tło lasu, znikły... Tylko dochodził ze wszystkich stron odgłos pracy, postukiwanie młotków, wbijających kofki od namiotów w ziemię...

Drużyna Jacka stanęła na niewielkiej polance. Tu mieli zrobić obóz. Jacek podejrzliwie badał okiem grunt. Czy nie wilgotny, czy nie ma mrówek? Już chciał rozłożyć papier na ziemi i usiąść, kiedy drużynowy zakomenderował:

— Baczość!... I wygłosił krótką przemowę.

— Słuchajcie — mówił. To jest las. Rozumiecie? A my jesteśmy drużyną harcerską, przyjaciółmi lasu. Więc żadnych śmieci, papierów, niszczenia drzew i t. d. Rozumiecie!?

— Rozumiemy — odkrzyknęli. A Jackowi się zdawało, że drużynowy patrzy wprost na niego. I obraził się zaraz.

— Cóż to! Ja i tak nie będę robił w tym lesie...

Ale pomylił się. Odkomenderowali go wraz z innymi do noszenia słomy i napychania sienników. Pobiegli wszyscy ze śmiechem, ale on po chwili był już niezszczęśliwy. Miał pełno słomy we włosach. za kołnierzem. Kluta go, i drapała...

— Przecież to mógłby robić kto inny — powiedział do zastępowego Wojtka z II gimnazjum.

— Niby kto? — zdziwił się Wojtek.

— Czy ja wiem... ktoś taki przyzwyczajony do ciężkich robót... Jacek spojrział dokoła. Wszyscy pracowali w pocie czoła. Wzrok jego zatrzymał się wreszcie na Sawickim, który rozpałał właśnie ognisko...

Wojtek źle sobie wytłumaczył ten wzrok Jacka i rzekł:

— Nie rób ze siebie ofiary. Przecież na to jesteś, abys się nauczył robić wszystko sam. Nawet najcięższe rzeczy. Cóż ty myślisz, że ci całe życie mamusia będzie wszystko gotowe pod nos dawała?... Zresztą, jak chcesz, to cię przydzielę do kuchni. Idź pomagać Jankowi Sawickiemu...

Jackowi opadły ręce. Ale co miał ro-

bić. Ruszył ku ognisku, gdzie rozebrany do pasa Sawicki uwił się w blasku ognia, jak diabeł z Jasełek. Skrzywił się na widok Jacka.

— Co! Ciebie dali do pomocy? O rany! No, cóż robić, leć po wodę na herbatę...

— A gdzie jest woda — spytał ponuro Jacek. Na to Sawicki, jak nie skoczy:

— Poszukaj i znajdź... — i wciągnął mu w rękę ogromny sagan.

Poszedł Jacek w las. Dziwnie mu było. Zapach przewiewał taki, jakby kto w powietrzu poruszał kadzidłem... Szum słychać, najpierw ogromny, od góry wielkich drzew... A potem ten szum maleje, słabnie i tak się jakoś drobniusko rozsypuje wśród listków i traw. Słońce przebłyskuje już nisko za drzewami. Wieczór się zbliża. I coś tam migocze w dole, jakiś pas lśniący...

Rozjaśniło się Jackowi w głowie. Przecież to rzeka. Wkra... Popędził w dół po stromym brzegu i już pochylał się nad wodą, kiedy go ktoś uchwycił za ramię. Harcerz z drużyny wodnej, straż bezpieczeństwa.

— A wy tu czego! Odejść w tej chwili od rzeki...

— Ja tylko wodę na herbatę... bąknął Jacek.

— Pyszna będzie herbata! Cóż wy nie widzicie, że ta woda brudna? Tam, przy 21-szej, niedaleko komendy złotu jest źródelko...

— Jej, jej... Jęczał Jacek w duchu. Gdzież ta 21-sza, gdzież ta komenda...

— Przepraszam — zaczął jakiegoś druha — czy nie byłibycie łaskawi pokazać mi, gdzie jest komenda złotu.

Zacępowi zamrugał ze zdziwieniem oczami i wybuchnął śmiechem.

— Jak ty mówisz! Bez łaskawości pokażę ci. Przecież o dwa kroki przed tobą polana, na polanie główny maszt i tam komenda...

Odbiegł jelenimi susami śmiejąc się ciągle, a Jacek poczuł coś, jakby wstyd. I zaraz stanął zagapiony...

Na polanie w zwartym szyku ustawiły się drużyny. — Baczość! — padła komenda. Sprężyli się jednym ruchem. Fanfaryści przytknęli do ust błyszczące trąbki. Na maszt zaczęto wciągać sztandar biało-czerwonny. Wzlatywał powoli w górę. Coraz wyżej... aż rozwinął się cały na tle nieba, ponad wierzchołkami drzew.

— Sztandarowi cześć! — oznajmił donośnie ten sam głos. Trąbki zabrzmiały pobudką. Uniosły się dlonie do czapek, oczy w górę...

A Jackowi wydało się, że od stóp do

głów przelatuje przez niego jakaś iskra. Coś wyprostowało odrazu jego niedbale zgarbione plecy. Coś poderwało w górę niechętnie schyloną głowę... Jakby się zbudził z długiego snu. Stał wyprostowany i stał, choć już dawno padła komenda: — spocznij i rozejść się.

Wtem potracił go ktoś. Zadzźwięczał sagan i Jacek przypomniał sobie o wodzie. Spojrzał Jacek pod nogi, a tu wśród liści płynie strużka wody. Trzeba było tylko uważnie popatrzeć. Wystarczyło tylko posłuchać, bo szmerła cicho. Znalazł źródło tryskające spod kamienia. Nabrał wody do saganu i poszedł uginając się pod ciężarem. Tak, ale którędy trafić teraz do drużyny? Wytropić po śladach. Ale jak, jak? O Boże! Czy był tu na drodze ten namiot z łata, czy nie był? A ta kapliczka wisiała na drzewie, czy nie? Zapytam się tego druha, co tam idzie... Nie, nie zapytam się, sam trafię... Oho! Rozstajne drogi! I teraz w prawo, czy w lewo!? Poszedł na prawo. A tu wychyliła się z gąszczy lasu na ścieżkę mała biała brzożka. Jacek stanął.

— Nie, tej brzożki tu przed tym nie było. Byłbym przecież zauważył. Stoi tu tak, jakby ostrzegała... że nie tędy droga... Nieśmiało wyciągnął wolną rękę i pogłaskał gładki biały pień. Zrobiło mu się wesoło, jakby spotkał kogoś znajomego. Zawrócił na lewo. Przez ścieżkę przebiegała jakaś spóźniona wiewiórka. Poszedł za nią, a tuż zaraz zobaczył polanę, namioty drużyny i ognisko.

Sawicki przyjął go groźnym błyskiem oczu.

— Aleś przepadł! I pewnie nabrałeś wody z rzeki!

— Nie, znalazłem źródło! — oznajmił Jacek z triumfem. Uwijali się obaj. Ogień przypiekał Jacka, dym gryzł go w oczy. Chciał już zacząć narzekać, ale ugryzł się w język. Przy ognisku stanął drużynowy:

— Sawicki, kiedyż będzie ta herbata! Może ci przysłać jeszcze kogoś do pomocy?

— Jacek był pewny, że teraz Sawicki złoży całą winę na niego. Spóźnił się przecież z wodą... Tymczasem Sawicki, osmołony dymem podskoczył, jak diabeł w szopce.

— A po co! — zawołał. Już mi Jacek pomaga! Znalazł źródło... Herbata zaraz będzie. O, słyszycie?...

W tej chwili pocziwy sagan, zawieszony nad ogniem zaczął mrużyć zrazu

cicho, potem coraz głośniej. Drużynowy odszedł przekonany, a chłopcy spojrzeli na siebie. Sawicki wyszczerzył swoje wilcze zęby, a Jacek... o dziwoł pomyślał, że to porządny i całkiem przyjemny chłopiec. I uśmiechnął się także.

A sagan nad ogniem syknął przeraźliwie i zaczął prychać gotującą wodą. Rzucili się więc obaj do zaparzenia herbaty, a po chwili wrzasnęli zgodnym głosem: — Gotowe, dawać menażki!

Wpadł na nich drużynowy: — czego się zdziecie, jak stare pełeryny. Już noc. Nie widzicie, że las śpi?...

Jacek obejrzał się od ognia. Więc tak wygląda w lesie w nocy? Taka cisza i ciemność dokoła. Jakby kto wszystko otoczył miękkim puszystym kocem... Tylko iskry z ognia przyskają pod gwiazdziste niebo... I w liściastym krzaku jakiegoś ptak świergoli przez sen...

Trącił łokciem Sawickiego:

— Wiesz, przedtem biała brzożka pokazała mi drogę... I ja wogóle dopiero jak zobaczyłem nasz sztandar na polanie... i las... i wodę w źródle... dopiero zrozumiałem, co to jest harcerstwo... Ale Sawicki ziewał już okropnie ze zmęczenia,

— Aha! — powiedział przerywanym głosem spać mi się chce. A najgorsze, że nie mam siennika. W domu matką nie miała...

Jacek zastanowił się chwilę, ale zaraz powiedział, najnaturalniej w świecie, tak, jakby się to samo przez się rozumiało...

— No, to może będziesz spał razem ze mną? Na moim sienniku...

Sawicki przestał ziewać. Popatrzył na Jacka, jakby go pierwszy raz w życiu zobaczył. A po chwili rzekł:

— Widzisz... to jest także harcerstwo... Takie pomaganie jeden drugiemu...

Janina Osłńska



W starym borze, tak gęstym i dzikim, że ludzka stopa w nim jeszcze nie powstała, dookoła oblana wodami olbrzymiego jeziora była wyspa Szczęścia. W przucidnym, z różowego alabastru pobudowanym pałacu mieszkała ze swymi rodzicami królewna Promienna.

Włosy jej były długie i złote i jak obłok otaczały maleńką, śliczną twarzyczkę. Olbrzymie fiołkowe oczy były zawsze pogodnie i radosne, a uśmiech nigdy nie schodził z różowych usteczek.

Wesoło i beztrudnie płynęło życie Promiennej. Odziana w sukienki, tkane z najdelikatniejszych pajęczyn i płatków kwiatnych, hasała sobie całymi dniami po lesie, gdzie rosły najrozmaitsze owoce i słuchała srebrzystych kołatań leśnych dzwonek i śpiewu słowików. A gdy się zmęczyła biegiem siadała nad brzegiem jeziora wsłuchana w bajki drżącego sitowia i przyglądała się harcowi łątek. Lubiała się też wpatrywać w czystą jak szkło wodę i śmiać się z uciesznych płasów złotych i srebrnych rybek lub pływać złotą łódeczką ciągniętą przez białego labędzika.

Na imienniny dostała od swego ojca przesłaniczy wózecek zrobiony z kolorowych paciorków, a dwanaście różnobarwnych motyli zaprzeczonych w lejce z kwiatów wozilo ją na dalekie spacery.

Kiedyś na takim spacerze spotkała dorodnego królewicza i pokochała go od pierwszego spojrzenia. Tak jak Promienna była smukła i delikatna jak kwiat, on był mocny, ogorzały i śmiały. Rodzicom Promiennej bardzo podobał się królewicz Baj, przeznaczono mu więc córkę za żonę i niedługo miało odbyć się weselisko. Zapędzono więc wszystkie pajęczki w lesie by tkaly cieniuchne niteczki na sukienki i wyprawę dla królewicy; krasnoludki zrywały płatki kwietne na kołderkę i poduszczykę, a pszczołki zbierały ranną rosę do umycia i olejek różany na perfumy dla Promiennej. Któregoś dnia, gdy królewna huśtała się na kryształowej huśtawce złotymi sznurami zawieszzonej na tęczy — spostrzegł ją król Wiatr i tak rzecze:

— Jakaś Ty cudna w sam raz dobra dla mnie. Zostań moją żoną.

— Nie mogę, odpowie Promienna. Ja ciebie nie kocham i niedługo wychodzę za mąż za królewicza Baja.

Ryknął wichur straszliwie, aż z przerażenia zbladła Królewna i wrzasnął jak

szalony: Zabiję Baja! Zamrozę go wichur Północy, czy spalę razem Afryki — musisz być moją! Biada ci, jeśli będziesz stawać mi opór.

— Zlituj się Wichurze — prosiła królewna. Gdzież ja z tobą będę mieszkać? Tyś jest pan bezdomny, a jam przywykła do wygod. Co pocznę biedna?

— Nie martw się — uspakajał Wichur. Zaniosę cię na północne lodowce, zobaczysz jak się bawią niedźwiedzie i foki, potem polecimy na południe — tam, gdzie niebo jest zawsze błękitne i pomarańcze kwitną, a jeśli zechcesz odwiedzimy też na wschodzie Chińczyków z długimi warokczami, czy na wschodzie przyjrzymy się łowom dzikich koni na stepach meksykańskich.

— Ja nie chcę nigdzie podróżować — płakała Promienna. Ja chcę być zawsze tu, tu w Polsce, bo tu moja Ojczyzna i ja tylko miłuję. Tu mój dom, rodzina i wszystko mi bliskie. Nie pójdę z tobą.

— Zobaczymy — gwizdnął Wichur, jutro po ciebie przyjdę krzyknął i znikł.

A Promienna przedziutko wróciła do domu i opowiedziała wszystko rodzicom. Przestraszyli się staruszkowie — uciekli więc z nią do królewicza Baja, na różowy obłok, szukać opieki i obrony.

A gdy nazajutrz przyleciał Wiatr i zastał opustoszały pałac, tak się rozgniewał, że poprostu oszalał ze złości. Ryczał jak zwierzę, wyrwał drzewa z korzeniami, cudny pałac zmienił w kupę gruzów, a gdy zobaczył kufty, gdzie przechowywana była pajęczyna na wyprawę Promiennej — tak weń dmuchnął wściekle, że wszystka wyfrunęła w powietrze i lata tak do dziś dnia.

Ludzie te srebrne niteczki nazwali babim latem, nie wiedzą jednak, że ta pajęczyna to wyprawa Promiennej, która jest dziś bardzo, bardzo szczęśliwa ze swoim mężem królewiczem Bajem.

Jesień

Przez otwarte sadow wrota idzie do nas jesień złota.

Odpoczęła na zagonie, dzieciom dała śliwek w dłonie.

Czerwień pali na zachodzie rankami szkli się na wodzie.

Ludziom dała dobre plony mówiąc im, że trud skończony.

Trud wiosenny i trud lata, którym brzmiała każda chata.